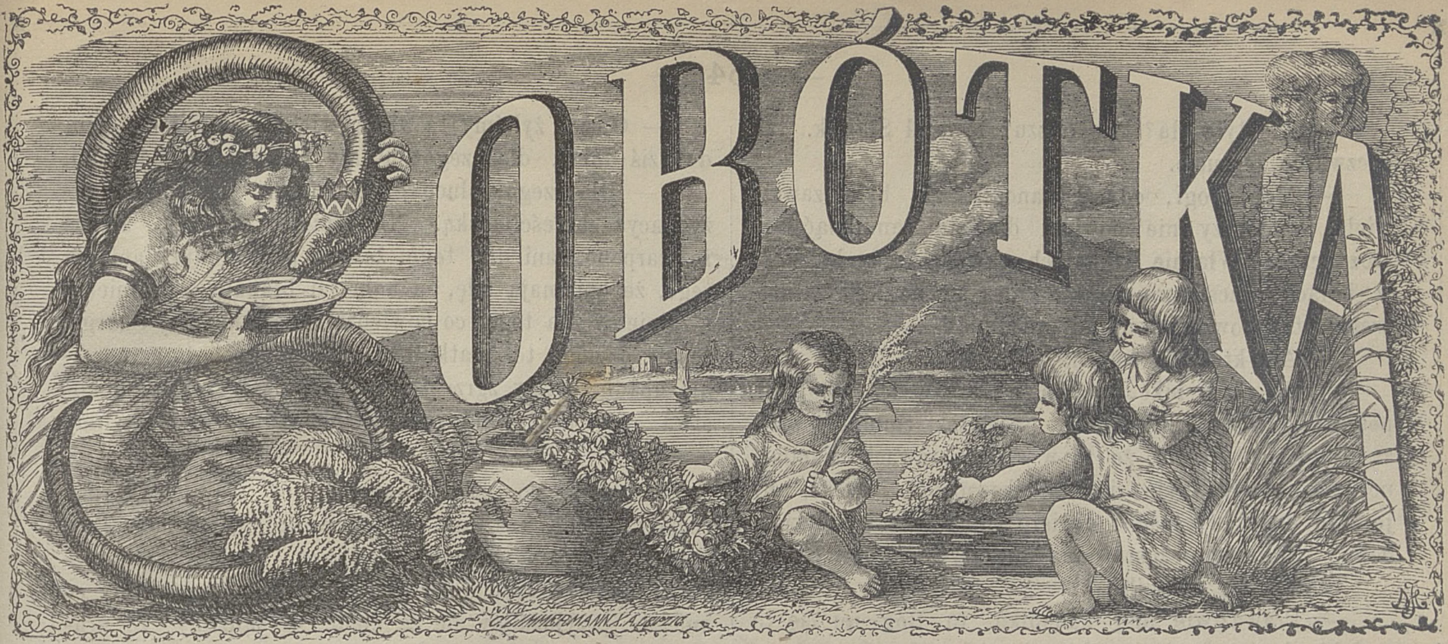


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 19. **Poznań, dnia 8 Maja 1869.** **Rok. I.**

W MĘTNĖJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

Stręczyli mu się pomocnicy na wstępie, ale od pierwszych ich słów mógł poczuć, że nimi nie kierowała miłość prawdy, ani kraju miłość, ani żądza istotna poświęcenia się dla dobra ogółu — każdy miał jakąś gratkę do upieczenia przy tém ognisku. Jeden popularności żądzy nabyć, jakimkolwiek kosztem, drugi się potrzebował rehabilitować, inny geniusz pragnął się wynieść na widownią i prawić mowy, choćby w czasie popisów elokwencyi jego ojczyzna w gruzy paść miała... Cichéj pracy i ofiary nikt dać nie chciał...

Co było począć? co począć?

Im rozpaczliwszém zdawało się położenie, tém Sławek więcéj nabierał ducha.. Czasem być opuszczonym, zostać zapartym — daje siłę, podnosi — oklask głupców, współczucie intrygantów — zabija.

Chodząc z takiemi myślami po pustym prawie ogrodzie, wśród starych lip opadłych z liści pożółkłych, to chciał już na wieś uciekać, zakopać się, zamilknąć i zaprządz do czysto-materyalnéj pracy — to walczyć pragnął do upadłego..

Rozmyślał, łamał ręce.. i latał, nie patrząc na to, co go otaczało, w tém uczuł, jak go ktoś za rękę chwytał. Mrok wieczora nie dał mu od razu rozpoznać postaci stojącéj przed nim.. Był to staruszek siwowłosy, w sukni duchownego, z brewiarzem w ręku.. Milcząc, uśmiechając się łagodnie, patrzał na Sławka i czekał, aby ten go poznał..

Nagle Młyński wykrzyknął zdziwiony.

— Wy, tutaj! księże kanoniku! wy! tutaj! I począł go w ręce całować..

Był to pierwszy jego najukochańszy nauczyciel, ten, któremu równie jak matce winien był pierwsze myśli i najpierwsze szlachetniejsze serca bicie.

Nigdy może zjawisku temu niespodziewanemu radby nie był więcéj.. nigdy mu ono bardziéj w porę nie przyszło, jako odpowiedź na zwątpienie. X. kanonik, ów z probostwa, które dawniéj miał w Rabczycach, przeniesiony został na inne.. nie pojmował Sławek, zkąd się tu mógł wziąść.. bo widocznie gościem nie był..

— Ojcze mój! wy tutaj! a to was zsyła dla mnie opatrzność — zawołał.

— Któż wie? — spokojnie rzekł staruszek.. Byłem ci potrzebny... o to jestem. Nie należy nigdy wątpić o opatrzności.

— Ale godzi się czasem wątpić o sobie, odparł Młyński.

— Co tu robisz? spytał ksiądz..

— Nie wiem, dotąd nie robię nic.. ale rozpaczam..

— Zlituj się, tego wyrazu niema w słowniku chrześcianina! Mów, co ci jest..

— Spojrzałem na świat, zbliżyłem się, dotknąłem i zwątpiłem?

— O czém? zapytał spokojnie stary.. bo jużcić nie o Bogu?

Sławek milczał.

— Kto w Boga wierzy, o świecie zwątpić nie może, bo świat jest w ręku Boga. — Dla tego, że my dróg, któremi opatrzność prowadzi nas do celu, nie rozumiemy, mielibyśmy się jéj zaprzeć..?

— Ale tyle zła? tyle fałszu? zawrzał Sławek.. tak poczwarne zepsucie.

— Mój drogi, odparł kanonik, zła było zawsze wiele.. i dobrzy nie powinni dlań ani zamilknąć, ani zrozpaczyć. Właśnie w takich chwilach, gdy ludzkość w bólach przesilenia cierpi i rzuca się na łożu — poczciwi stać powinni czujni i pracować!!

— Ale któż ich usłucha?

— Z razu nikt, potém z ciekawości obojętni, potém ze wstydu obłąkani, naostatek tłum, co idzie za drugimi... Wierz, że tu w wielu sprawach nieśmiałe uczucie prawdy kryje się, tai, ukazać boi, i czeka, aby je kto inny wygłosił i dopiero się.. ozwie z krzykiem bolu... Śmielszym zostawiona inicyatywa reform...

Sławek się zamyślił.

— Prawdziwie mój kanoniku, to Bóg mi cię tu zesłał? ale coż ty tu porabiasz!

Stary się uśmiechnął.

— Dano mi a raczéj ja sobie sam dałem dymisyą i osiadłem w celi klasztornéj... tak mi lepiéj..

Nie pytaj o szczegóły.. bo ci ich nie powiem. Nie jest mi nigdzie źle.,

— Ale cóż się stało? zawołał Sławek.

— Nie, nie.. Wikaryusz, który był w łaskach u pewnych ludzi wpływowych, u których ja nie byłem w łaskach, potrzebował probostwa. Naturalnie, że mnie starego dla niego usunięto...

— Wikaryusza tego ja sam sobie sprowadziłem, dźwignąłem.. a on mnie wypędził, jest to w porządku rzeczy...

Lituję się nad nim, ale się nie gniewam, mnie to wszystko jedno...

Żyję sobie w klasztorze jak u Boga za piecem, a że mnie upokorzono tém usunięciem.. to dla duszy méj pożytek i pociecha..

Mów mi o sobie — dodał staruszek. — Sławek smutny i znękany potrzebował tylko tego pozwolenia, aby się przed kanonikiem wyspowiadać, wyjęczeć. — Stary słuchał z zajęciem i uśmiechał się niekiedy.

— Mój drogi, rzekł w końcu — należy ci się z siłami rozrachować. Dwa masz przed sobą uczciwe kierunki, z których jeden obrać możesz. Jeśli sił nie czujesz do walki — usuń się z jéj pola, zamieszkaj na wsi, gospodaruj, ucz ludzi, pomagaj biednym, bądź widzem boju.. pracuj w ambulansach. Jeśli jest w tobie duch rycerski i ochota do zapasów ze światem i złem, występuj i bij się do upadłego... nie zaręczam, byś nie zginął... nie wiem, czy z szeregowego dojdziesz hetmaństwa, czy kaleką wyniosą cię z pola bitwy, nic nie wiem.. Wszakże odradzać ci nie będę, stanąć pomiędzy wybranymi żołnierzami chrystusowymi...

— Nawet, gdyby nie było nadziei zwycięstwa..?

— Walczy się nie dla niego, ale dla prawdy, czasem tylko, by poledz za nią i poświadczyć ją krwią... Na prawdę rzekłszy, dodał kapłan — o zwycięstwie dobrego... w dziejach i przeznaczeniu ludzkości nie wątpię — o zwycięstwie naszéj sprawy, inaczéj naszéj ojczyzny — ani marzę...

Sławek się targnął, ręce łamiąc.

— Ojcze! żyliśmy tą wiarą wieki, ona świeciła nam do dziś dnia... dla czegóż byśmy ją dziś utracić mieli.

— Dla czego? słuchaj mnie zimno, powiem ci z rezygnacyą chrześcijańską. Nie giniemy dla tego, że nas rozszarpano, ani dla tego, że nas prześladują, ani dla tego, że oni mają siłę, a nam jéj braknie, — giniemy i zginiemy dla tego, co powiedział nieśmiertelny Skarga, żeśmy dziećmi téj matki być nie umieli, żeśmy moralnie upadli, żeśmy zgrzeszyli, a dziś w grzechu sobkostwa po uszy mówimy o ojczyznie, ale myślimy o sobie...

Spojrzyj na narody upadłe, co się podźwignąć chciały — nie tak tam postępowano, jak u nas! Tam była spójność, posłuszeństwo, ofiara... u nas jest rozstrój, demoralizacya.. co innego myślimy, mówimy co innego... przyjaźnimy się ze złém... a sądzimy, że uratujemy przez to dobro...

Spuścił starzec głowę i zapłakał, a ocierając łzy dodał:

— Niech będzie wola twoja...

Sławek szedł przy nim z załamanemi rękami.... i doprowadził go tak do końca ogrodu... Tu kanonik znalazł oczekującego nań braciszka klasztornego...

— Przyjdźże do mnie, rzekł... a nie smuć się... I zniknął...

Niechciał Młyński, mimo późnego wieczora powracać do miasta, potrzebował dłużéj jeszcze być z sobą, zwrócił się do wrót, puścił aleją cienistą i błądził, szukając wypoczynku...

Część ta ogrodu pusciejszą była, niż inne, w głębi oświecały ją dwie lampy gazowe u wnijścia do kawiarni... Sławek nie postrzegł, że pod jedną z nich, otulona szalem siedziała kobieta, która od godziny zdawała się go razem szukać i unikać...

Dopiero gdy go ujrzała samym... chciała pójść przeciwko niemu... i już się była poruszyła z ławki, gdy z kierunku jego kroków wniosła, że idzie ku niéj — wstrzymała się więc i czekała... Była to kobieta młoda, piękna, ale w wyrazie jéj twarzy uderzało coś tak niezwyczajnie śmiałego, zuchwałego prawie, że można ją było chwilami wziąć za obłąkaną.

Rysy miała regularne, oczy wielkie, ogniste, czarne, ale brew nad niemi ruchomą, groźną... a usta jakby znużóne od jęku. Fizyognomia ta, choćby się komu nie podobała, na każdym wielkie uczynić musiała wrażenie, była to twarz kobiety, co cierpiała mężnie, czuła silnie.. i dotrzymywała życiu przez upodobanie w walce i bólach... Prostota i naiwność, starły się dawno z tego oblicza, pooranego tysiącem wrażeń... a wszakże dumnego, jakiemi — zwycięstwem. Wpatrzywszy się w nią, można było powiedzieć — widziała wszystko.. ale nic ją poniżyć i zepsuć nie potrafiło... Ubrana prawie skromnie, ale z instynktem niewieścim, szukającym wdzięku, bo on jest rysem charakteru — siedziała, oczyma śledząc Sławka, wpatrując się w niego chciwie... w ręku trzymała wiązkę asterek jesiennych..

Młyński był o krok od niéj, gdy wstała poważnie, posągową postać ukazując, jakby grecką draperyą osłonięta narzuconym szalem — i podniósłszy bukiet, milcząca, podała mu go...

Sławek cofnął się przestraszony z razu, ale astry przypomniały mu dzieweczkę z przedmieścia i żywo zbliżając się, zawołał.

— O mój Boże! godziłoż się pamiętać o tém?

Z początku kobiecie słów zabrakło... widać było, że wyrazy cisnęły się jéj do ust, a wargi drzące, wymówić ich nie umiały... ręka jéj drgała.. oczy zachodziły łzami...

— Poznałbyś mnie pan? spytała...

Sławek wejrzał dopiero uważniéj — na twarzyczce téj pięknéj, ale zwiędłéj, niby... wypisaną była cała twarda historya życia... Nie śmiał jéj powiedzieć — nie — nie mógł rzec — tak — milczał.

— A ja — zrozumiawszy milczenie, odezwała się kobieta, a jabym cię panie poznała... Ty jesteś jeszcze tym młodym studencikiem... co płakał nad cudzą niedolą i dlań miał litość pełną — a ja — już nie jestem tą rozpłakaną dzieweczką, co się tuliła do łona umierającéj matki. Sieroctwo wyryło się na mojém czole, na sercu.. i uczyniło mnie starą...

Ze wszystkich uczuć zagasłych, panie — wspomnienie tylko twoje i cześć dla ciebie — przeżyła!!

Byłam pewną, że cię kiedyś zobaczę... Od kilku dni chodziłam, jak w gorączce... chciałam pójść pierwsza... ale jak! — Mnie o siebie nie szło... o was? Ja jestem aktorką... tyś młody... ludzie są źli, rzucili by ci w oczy szyderstwem... Tego nie chciałam,... ale jałmużna kilku słów za te asterki, które ci słodką młodość i dobry uczynek przypomną — należy mi się! należy!

Sławek uścisnął jéj rękę...

— Siądźmy tu, rzekł — ja się wcale nie lękam wyśmiewań, niczego... a rad jestem, bardzo rad... że was widzę...

— Nie wątpię, odpowiedziało dziewczę, — ja jestem twoją, twojém stworzeniem, uratowaném przez ciebie — od śmierci głodnéj... Ale ty dla mnie! ty dla mnie panie, nie przestałeś być ideałem... marzeniem, wszystkiém... Byłeś moim dobroczyńcą, nie wiedząc o tém, bo wspomnienie twoje broniło mnie od złego... Czułam, że powinnam oddać te astry ręką czystą i sercem czystém! Ludzie okryli mnie potwarzą gniewną... ale ci przysięgam... nie wierz im, jes'em dziś złamaną, znękaną, ale tą samą Lenką, co cię płacząc chwyciła za suknię...

Ton téj rozmowy nie zwykły stawił Sławka w bardzo przykrém położeniu... słuchał, wpatrywał się w nią, nie wiedząc co jéj odpowiedzieć, radby był sprowadzić mowę na przedmiot powszedniejszy... Ona jakby to odgadła... spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się i poczęła.

— Nudzę cię panie, alem ja dziecko... które, powróciwszy ze szkoły, tłómaczy się, że nie swawoliło, przebaczyć mi należy. Szło mi o to wielce, byś wiedział — prawdę. Teraz, gdy ci twoja Lena przysięgła, że dobroczyńcy wstydu nie zrobiła, możesz się śmiać i zadać kłam tym, co ci o niéj inaczéj powiedzą... Potwarcy są!!

— Jakże się to stało, żeś pani...

Na ten wyraz — pani!... Lena się rzuciła.

— Jak chcesz... tylko nie pani!... dla ciebie jam nie pani, jam dziecko twoje, jam służebnica...

— Ale jakżeż mam mówić?

— Siostro, Leno... — ty! tylko nie pani! to mnie rani, to mnie odpycha...

— Więc, siostrzyczko...zkądżeś się wzięła w teatrze...

— Z głodu! odpowiedziała, wzdychając... Gdybym nie była w teatrze, byłabym na cmentarzu... nie widząc ciebie... lub... byłabym niegodną was... zobaczyć. — Praca rąk nie dawała nawet chleba... Znalazł się poczciwy czy płochy człowiek, co na twarz moją rachuje, najął mnie do teatru... Tę twarz nieszczęsną męka, bielidło i róż zniszczyły... ale z daleka maską młodości im świecę... Poszłam do teatru, nie wiedząc, co zrobić z sobą, zostałam w nim z nałogu, ale teraz — trzymam się go z miłości dla sztuki... z najemnicy praca mnie uczyniła artystką namiętną...

— Ale jakaż przyszłość? spytał Młyński.

— Któż myśli o przyszłości, odpowiedziała gorąco.. dla mnie całą było zobaczyć ciebie panie... a potém! choćby umrzeć...

Chwyciła go za rękę i chciała ją pocałować, gdy Sławek wyrwał gwałtownie, przechylił się z ławki i trzymając jéj ręce — zawołał.

— Siostrzyczko, nie eksaltuj się wdzięcznością... Każdy na mojém miejscu byłby to, co ja, uczynił.

— Ale nie tak, jak ty... przerwała Lena, dla tego ja ciebie czczę, kocham... tyś dla mnie ideał mężczyzny a w téj chwili ten twój chłód, ta powaga jeszcze, wzmaga cześć moją dla ciebie! a! ja już znam ludzi! każdy inny byłby korzystał z uczucia biednego dziewczęcia... z jego szału... ty mnie przed samą sobą bronisz. Tyś wielki, tyś święty...

Sławek miał łzy w oczach, drżał cały, podniósł jéj rękę do ust i pocałował ją, jak rękę siostry... Lena krzyknęła...

— Od téj godziny, rzekł uroczyście, masz we mnie brata.. ojca, opiekuna, obrońcę — do śmierci...

Lena milczała, zdawała się chwytać chciwie każdy wyraz jego, i powoli przyłożyła usta drżące do ręki Sławka... szepcąc...

— Do śmierci...

— Daj mi rękę, rzekł Sławek — nie lękaj się... przysiągłem ci braterstwo... Wiesz może, iż u Serbów jest obyczaj stary, że się bratają tak duchem a sercem młodzi ludzie i niewiasty... W kościele przed ołtarzem ślubują sobie to braterstwo i czyści dotrzymują je do zgonu.. Ja ci być bratem przyrzekłem i będę, a uroczyście ślubuję cię, — siostrą moją...

Lena płakała — sparta na jego ręku.

— Gdyby umrzeć, wołała... Gdyby umrzeć z takiém błogiém w sercu uczuciem!!

— Nie, rzekł Sławek, żyć jest trudniéj, potrzeba żyć, aby je na próbę ognia i miecza wystawić... i wytrwać, niosąc to uczucie do grobu...

— Do grobu! powtórzyła, idąc Lena... Bracie! jakżem ja szczęśliwa!...

Sławek nic nie odpowiedział, i on był zburzony... wyeksaltowany... szczęśliwy, dumny...

Nie wiedzieli ani słyszeli, że ułamki téj dziwnéj rozmowy ktoś z za drzew chwytał i śmiał się i ręce zacierał i równie prawie szczęśliwy, jak oni, pobiegł do miasta... z doskonałą plotką. (Dal. c. n.)

Dzień trzeci Maja.

(Z ryciną.)

Wielkie to były dni Sejmu Wielkiego, a dzień trzeci maja pozostanie na zawsze dla każdego Polaka dniem największéj pamiątki narodowéj.

Z nadejściem wiosny roku 1791 miała zawitać dla nas wiosna narodowego odrodzenia. W pierwszych dniach maja miała być narodowi przedłożona konstytucya, jednym łącząca węzłem szlachtę, mieszczan i włościan, konstytucya, nad którą pracowali przedewszystkiém Hugo Kołłątaj i Ignacy Potocki. W pierwszych dniach onego po wsze czasy pamiętnego maja miał uchwalić dla kraju nowe prawa sejm, którego duszą był marszałek sejmowy Stanisław Małachowski, dla prawości i zacności charakteru Arystydesem polskim nazwany.



Stanisław Małachowski. Hugo Kołłątaj. Ignacy Potocki.

Zanim się zbliżył trzeci maja, już dnia poprzedniego, dobą wieczorną, zebrali się się patryoci otoczeni tłumem ciekawego ludu na wielkiéj sali pałacu radziwiłłowskiego, na Krakowskiém Przedmieściu, gdzie po raz pierwszy publicznie odczytano konstytucyą śród uroczystéj ciszy. Radosne okrzyki: niech żyje konstytucya! niech żyje naród! rozległy się po sali. Już się północ zbliżała, już minęła i świt dnia nadchodzącego jął rozpraszać pomrokę nocy, a obywatele, opuściwszy salę radziwiłłowską, chodzili do białego poranku, poważni, po szerokich ulicach Warszawy, myśląc, marząc, rozprawiając o odrodzeniu upadającéj ojczyzny.

Zaledwie brzask wschodzącego słońca zwiastował dzień trzeci maja, tysiące ludu: szlachty, mieszczan,

chłopów, przybranych w świetne szaty, zalegały plac ratuszowy i poboczne ulice. Liczne oddziały wojska rozmaitéj broni wystąpiły z koszar i rozwinęły się długim szeregiem na Krakowskiém Przedmieściu. Na zamek królewski zatoczono kilkadziesiąt dział. Wystąpiły rozliczne cechy i bractwa, z chorągwiami i godłami na czele. Przed zamkiem królewskim podniósł się z tysiąca piersi okrzyk: niech żyje konstytucya! echo — powtórzyło go po wszystkich ulicach, po całéj stolicy.

Z biciem serca oczekiwano wypadku dnia tego pamiętnego. Wszystkich twarze niezwyczajną jaśniały radością, na wszystkich malowała się nadzieja lepszych czasów, boć téż dzień ów miał ich samych, ich synów i wnuków ich wnuki uznać za ludzi, za obywatelów kraju, boć dzień ów miał ich upewnić, czy burza, która już zdala od wschodu huczało, spaść miała niszcząco na ich głowy, czyli téż miało się przez nią przebić słońce szczęścia, — słońce wolności!

Uderzyła godzina jedenasta. Król się miał zbliżyć. Uczucie niepewności nadziei i trwogi, przejmujące naprzemian dusze przytomnych i powszechne przekonanie, że zbliżyła się chwila ważna, brzemienna w stanowcze następstwa dla przyszłych losów narodu, rozlało wyraz spokojnéj powagi i głębokiéj zadumy na obliczach milczącego zgromadzenia na sali ratuszowéj. Po kilku chwilach wszedł do sali sejmowéj król Stanisław August, przybrany w mundur kadetów, otoczony licznym orszakiem senatorów i urzędników koronnych poprzedzony przez dwór i czterech marszałków niosących laski hebanowe, w złoto oprawne, herbami królestwa i w. księstwa litewskiego ozdobne. Posłowie i publiczność na galeryach powitała go radosnym okrzykiem. Królu! ratuj ojczyznę! — wołano z piersi wszystkich.

Po przemówieniu marszałków odczytano na wezwanie króla konstytucyą, która

stanu szlacheckiego praw nie pozbawiała,
stan mieszczański prawem konstytucyjném obdarzyła, stan włościański z poddaństwa wyzwoliła;

konstytucyą, która wypowiedziała prawo:

„Kto stanie nogą na ziemi polskiéj, wolnym jest zupełnie.“

Po odczytaniu nastąpiły rozprawy. Wtedy to Zakrzewski, poseł poznański, temi przemówił słowy: „Dobija już godzina, w któréj albo życie ukochanéj ojczyzny naszéj utrzymać, albo ją zgubić; w któréj ocalić, albo na rozerwanie i haniebną grabież oddać ojczyznę naszą przychodzi...

„Jestem nadbrzeżnych województw obywatel i poseł; w najpierwszym kraju rozbiorze jestem podległy zupełnemu egzystencyi mojéj zniszczeniu; jestem przyległy mocarstwu temu, które już pomnożenia sił swoich w wnętrznościach kraju swego uczynić nie może; są województwa moje przyległe monarsze takiemu, który, zaboru kraju potrzebując, z żadnéj strony tylko z strony Polski mieć go mógłby najłatwiéj.

„Wolnym Polakiem być chcę; cnocie i ojczyźnie więcéj, jak względom na osobistą egzystencyą winien jestem. Wolności republikańskiéj nie zakładam tylko na prerogatywie praw stanowieniu, podatków uchwaleniu, magistratur rządowych i sędziów obieraniu. Bezpieczeństwa, wolności niewidzę, jak na rządzie i na silnéj praw egzekucyi; tron elekcyjny, mamidłem, owszem powiem, zgubą nazywam narodu.

„Królu Miłościwy! już czasu ani ty, ani ojczyzna nie ma, ażebyś się wahać miał w decydowaniu, co istotną a co pozorną narodu wolnego jest prerogatywą, czas jest tylko zgubić lub zbawić ojczyznę! Przeto o podniesienie projektu konstytucyi narodowéj i dalszych prawideł do formy rządu dopraszam się.“

Tak mówił poseł poznański na sejmie wielkim w dniu trzecim maja.

Mówiło po nim wielu jeszcze innych posłów, a gdy Kiciński, poseł liwski, zakończył swą gorącą mowę donośnemi słowy: „Mości panie marszałku sejmowy, róbmy śpieszno ustawę rządu, róbmy ją dzisiaj! Dziś zapewnijmy szczęście ojczyzny, albo już rozpacz o jéj losie ofiarą życia naszego pieczętujmy!“ — podniósł się zapał ogólny do najwyższego stopnia. Śród nieustających okrzyków radosnego uniesienia zapytał ponownie izbę marszałek Stanisław Małachowski, czy zgadza się na projekt konstytucyi. Zgoda! zawołała izba potrzykroć.

Wtedy podniósł się król Stanisław August na krześle tronowém i skinął ręką na znak, że mówić pragnie. Izbę zaległa cisza a król przemówił: „Gdy widzę stałą i wyraźną sejmujących wolę, abym wykonał przysięgę na konstytucyą narodową, wzywam zatém ciebie, pierwszy kapłanie tu przytomny, mości księże biskupie krakowski, ażebyś mi przeczytać raczył rotę przysięgi dla wykonania jéj przezemnie.“

Król złożył przysięgę a potém odezwał się głosem uroczystym: „Juravi Domino, non me poenitebit. Przysiągłem Bogu, żałować tego nie będę. Wzywam teraz kochających ojczyznę; niech idą za mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnéj przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dopełnić dzieła.“

„Przecudny dzień wiosenny, — pisze jeden z wielkopolskich dziejopisarzy, — zbliżał się już ku schyłkowi, kiedy ożywiony, różnorodny orszak przestępował progi kościoła św. Jana. Zachodzące słońce, przebijając się przez górne okna starożytnéj świątyni, rzucało ostatnie bladawe promienie na zczerniałe jéj sklepienia, osłaniając mglistym zmierzchem grobowce rycerzy poległych w ciągu wieków w obronie ojczyzny i pozawieszane u sklepień i ółtarzy chorągwie i sztandary, które na wrogach jéj długi szereg mężnych zdobywał pokoleń. Władze miejskie i wszystkie cechy i bractwa warszawskie, ustawione w głębi świątyni przywitały wchodzących powiewem rozwiniętych znaków, godeł i chorągwi. Wszystkie miejsca, wyniesienia ółtarze nawet, przepełniała ciekawa publiczność. Było wspaniały widok wzniosłego niewysłowionego uroku. Wszystkie oblicza promienną jaśniały radością; wszystkich piersi oddychały swobodą i błogą w pomyślną przyszłość narodu nadzieją; wszystkich serca biły również żywą jak czystą miłość kraju.“

Tak się skończył dzień trzeci maja.

W rok późniéj tegoż dnia 1792 obchodziła Warszawa rocznicę uchwalenia konstytucyi narodowéj. Naród postanowił wznieść na pamiątkę kościół św. Opatrzności. Senat, posły i lud udali się w wspaniałéj procesyi na miejsce, gdzie miano wznieść świątynię. Ksiądz Prymas poświęcił założone fundamenta, poczém wszyscy zwrócili się do katedry św. Jana, by odśpiewać Te Deum. Dwieście śpiewaków i śpiewaczek rozpoczęło uroczysty hymn. Wszystkich serca, niezwykłą nastrojne radością, korne składały Bogu podzięki, — gdy nagle straszny zerwał się wicher, zahuczała burza w powietrzu, ruszyło się sklepienie świątyni. Lud przerażony podniósł trwożliwy wzrok do góry i zjawisko przyrodzone wziął za niefortunną wróżbę przyszłości.

Przeczucie złowrogie nie było fałszywe; w piętnaście dni potém przesłała Rosya senatowi deklaracyą wojny.

I dotąd złowroga ta burza nie chce ustać po nad głowami naszemi. Kiedyż się uciszy? Kiedyż będziem mogli dokończyć budowy kościoła św. Opatrzności?

Najnowsze wiadomości o słońcu.

Dziwnym trafem zdarza się niekiedy, że dwóch uczonych badających jeden i tenże sam przedmiot w odmienny sposób odkrywa nieraz równocześnie a niezależnie od siebie nową i wielką prawdę, rozszerzającą zakres dotychczasowéj wiedzy.

Przykład tego dziwnego zbiegu okoliczności, mieliśmy w jesieni roku zeszłego, w czasie, w którym uwaga świata uczonego, zwróconą była przeważnie na wyniki badań astronomów, wysłanych do Indyi, Persyi i Siamu, w celu uważania zaćmienia słońca. Dnia 20 października r. z. odebrała francuska akademia umiejętności od p. Janssen'a bawiącego podówczas w Egipcie i od p. Lockyer'a z Londynu, doniesienie o jedném i témże samém nader ważném odkryciu astronomiczném; obudwom udało się bowiem odkryć niezależnie od siebie nową metodę uważania narostów słonecznych nie tylko w czasie zaćmienia słońca, ale i wtenczas, gdy tarcz słoneczna jest dla nas widzialną.

Czémże są narosty? Jakimże jest ich związek ze słońcem? zapytają niezawodnie czytelnicy. Otóż to właśnie wyjaśnić i w sposób przystępny wyłożyć, będzie zadaniem niniejszéj rozprawki.

Rozpoczynając rzecz naszą, winniśmy na wstępie dać szanownemu czytelnikowi ogólne wyobrażenie o fizycznym ustroju słońca, najważniejszego dla nas mieszkańców ziemi ciała niebieskiego, ze względu na to, że jemu do zawdzięczenia mamy światło i ciepło.

Gdyby nie rażący blask słońca, przytępiający nasz wzrok, dostrzeglibyśmy nieraz na słońcu, podobnie jak na księżycu, różne plamy ciemne i miejsca świetniejsze od reszty tarczy. Astronomowie uważają te plamy dalekowidzami, uzbrojonemi w szkła ciemne, pokryte sadzą i przepuszczające tylko małą ilość promieni; jednakże i gołém okiem udaje się niekiedy dostrzedz większe plamy przy zachodzie słońca (tak n. p. w roku 1828 i 8 maja 1867).

Plamy księżycowe i słoneczne, nic jednakże nie mają wspólnego, pierwsze bowiem są stałe i nie zmieniają ani swych kształtów, ani swego położenia na tarczy księżycowéj, podczas gdy ostatnie ukazują się na brzegu wschodnim, wędrują przez tarcz i giną na zachodnim, przyczém zmieniają swe kształty, łączą się lub się rozdzielają.

Plamy księżycowe, są to kratery i doliny spoczywające w cieniu, plamy zaś słoneczne — prawdopodobnie ogromne chmury zgęszczonych gazów, których powierzchnia większą jest niekiedy kilkadziesiąt razy od tarczy księżyca i od naszéj ziemi.

Plamy słoneczne (maculae) składają się zazwyczaj z jądra ciemnego kształtu, nieregularnego i obwódki tegoż nieco jaśniejszéj, czyli połcienia (penumbra). Tworzą one niekiedy swym kształtem i położeniem, grupy charakterystyczne, które obiegają naokoło słońca, domyślać się każą, że powłoka słoneczna a prawdopodobnie także i jądro słoneczne kończy swój obrot około osi w 25—26 dni.

Miejsca świetniejsze od reszty tarczy słonecznéj, nazywają astronomowie pochodniami (faculae); spostrzegać się one dają szczególniéj na obwodzie w pobliżu plam. Weber doszedł nawet z obserwacyi 20 letniéj do tego wypadku, że plamy są następstwem pochodni słonecznych, że pierwsze są gazami, z pochodni tych się wywięzującemi.

Prócz plam i pochodni ukazują się na obwodzie słońca podczas jego zaćmienia dziwne zjawiska świetne, kłębiastego kształtu i różowéj barwy; zjawiska te nazwano narostami. W r. 1850 uważali astronomowie podczas zaćmienia znakomity wielkością i kształtem narost słoneczny, właśnie w pobliżu tego miejsca, gdzie poprzednio była się pojawiła wielka grupa plam, w pobliżu któréj silne pochodnie uważano; to samo spostrzeżenie zrobiono 28 lipca 1851.

Aby sobie wytłómaczyć zjawisko plam, pochodni i narostów, uciekali się astronomowie do teoryi często wręcz sobie przeciwnych, te zaś stały się powodem rozlicznych sporów naukowych, w których dotąd żadna jeszcze teorya stanowczego zwycięstwa nie odniosła.

Pierwszą teoryę postawił Cassini w roku 1671, którą późniéj Wilson i Herschel wydoskonalili. Według téjże jest słońce kulą ciemną, kulę tę osłania naprzód warstwa mglista, wydająca mało samodzielnego światła i ciepła; na zewnątrz téjże warstwy znajduje się powłoka świecąca i ogrzewająca samodzielnie, tak nazwana fotosfera, po za tą jeszcze rozciąga się właściwa powietrznia, która zgrupiwszy się, daje początek owym dziwnym narostom i tak nazwanéj koronie. Plamy są według Herschla, otworami lejkowatemi w atmosferze, fotosferze i warstwie mglistéj słońca, sięgającemi aż do ciemnego jądra; wskutek czego przedstawiają pełny cień środkowy i obwódkę tegoż nieco jaśniejszą, utworzoną przez wewnętrzną warstwę mglistą. Pochodnie zaś, są to nagromadzenia i zgęszczenia materyi świetnéj, wypartéj z otworu lejkowatego i osadzonéj po bokach plam.

Teoryi téj słusznie zarzucił Kirchhoff i jego zwolennicy, że przypuszczając jądro ciemne i zimne, otoczone warstwą mglistą, wstrzymującą, choćby jak najzupełniéj ciepło promieniowane przez fotesferę, — trudno zrozumieć, dla czego otworami lejkowatemi, któremi ciepło fotosfery jak najłatwiéj przystęp by znalazło do jądra słonecznego, przelaćby się nie miała po upływie wielu tysięcy lat tak wielka ilość ciepła na kulę słoneczną, iżby temperatura téjże nie wiela była niższą od temperatury saméjże fotosfory.

Kirchhoff tedy odrzuca zupełnie teoryą sławnego Herschla i Wilsona, a wspierając się na chemicznych rozbiorach widma słonecznego, stawia nową i bardzo naturalną teoryą a raczéj hipotezę: że słońce jest ciałém, rozpaloném do białości, otoczoném atmosferą stósunkowo ciemniejszą palących się gazów; plamy zaś, nie są niczém inném, jak chmurami tworzącemi się wskutek miejscowego oziębienia się téj fotosfery i zgęszczenia się w niéj przeróżnych gazów.

Jeżeli nad pierwszą chmurą utworzy się druga, natenczas przedstawia ona w tém samém miejscu, w którem się obiedwie pokrywają, widok plamy zupełnéj, tam zaś, gdzie oko nasze ich brzegi, lub pojedyńczą tylko ich warstwę trafia — zjawisko półcienia.

W takim razie nie potrzeba się uciekać koniecznie do hypotezy, bardzo zresztą nie naturalniéj, że kula słoneczna jest masą ciemną; i że słońce odrębnym podlega prawom fizycznym, jak reszta ciał niebieskich naszego systemu. Weber uważał 4 grudnia 1867 r., że obwódka cienia oddzieliła się zupełnie od plamy po jednéj stronie i po kilku dniach częścią się rozpłynęła, częścią się zgrupiła w maleńkie, samodzielne plamy; z tego wnosi Weber, że obwódka jest mgłą, która się od plam pełnych, odróżnia tylko mniejszą gęstością i w niektórych razach utworzyć może rzeczywiste plamy.

(Dokończenie nastąpi.)

O tańcach w Polsce.

(Dalszy ciąg.)

Polonez, jako staropolski taniec rycerstwa Rzeczypospolitéj, miał w swych posuwistych i zamaszystych ruchach coś marsowego; w swych zwojach zaś i splotach, skrętach, szeptach i odbijaniach, przypominał życie szlachty polskiéj, gwarne, ruchliwe, niespokojne. Kiedy Henryk Walezy obrany został królem polskim i liczna deputacya składająca się z dygnitarzy polskich zawiozła mu do Paryża orędzie o tym wyborze, zapraszając go do objęcia rządów nad Rzecząpospolitą, mistrz ceremonii urządził tak prezentacyą rzeczonych posłów, że po dwóch szeregiem przechodzili przed królem, a mistrz ceremonii, przedstawiając ich nowemu panu, wymieniał ich nazwiska. To miał być pierwszy początek powstania poloneza.

Laboureur w dziele swojém o poselstwie do Polski tak opisuje nasz taniec. Tańcowały w okrąg zwykle dwie kobiety razem, potém dwóch mężczyzn i tak ciągiem. Pierwsza część tańca trwała w pokłonach, potém w stąpaniach do taktu muzyki zastósowanych. Czasem tańczące na czele dwie damy z nienacka środkiem się zwracały, chcąc niby uniknąć kawalerów. Podczas uroczystych obrzędów weselnych tańcował oblubieniec z oblubienicą w pierwszéj parze, za oblubienicą ciągnął się długi szereg dam, za oblubieńcem szereg mężczyzn, tworzących jakoby służbę państwa młodych. Tak na weselu swém tańcował król Michał w pierwszéj parze ze swoją połowicą, za krolem senatorowie, biskupi i inni dostojnicy, a za królową damy jedna za drugą. Od tak bowiem skromnego tańca nikomu, nawet duchownym, wymówić się nie było wolno. — I ja mówi South — kapelan przy poselstwie angielskiém w Polsce — tańczyć musiałem z madonną, któréj mię przedstawił biskup Załuski. Sędziwi senatorowie i poważne matrony tańczyły z początku poważnie i uroczyście, lecz przy wzrastającéj wesołości jak początek był uroczysty i poważny, tak koniec czasem aż do pustoty stawał się wesołym-

Z razu posuwano się powolnie, a kończono na skokach i obracaniu się śród szału w koło, mówi wspomniony South. Lecz Anglik nie rozumiał tego, iż według ówczesnych prawideł muzyki takt poloneza z początku powolny stawał się coraz prędszym, aż nareszcie przeistaczał się w obertasa.

Jakkolwiek polonez zdawał się być tylko pochodem tryumfalnym, tańczyli go dawni Polacy z sztuką pełną gracyi i szlachetnéj prostoty. Kto z cudzoziemców widział tańczących go dawnych Polaków, a mianowicie Stanisława Augusta, temu słów brakowało na jego pochwały. Młodzież nie umiejąca tańczyć go poważnie, nazywała polonez chodzącą rozmową, lubo i to nie małą jest zaletą, że do okrasy jego służy wymowa.

Kto się przypatrywał z uwagą polonezowi, ten przyzna, że Brodziński, miał słuszność, gdy twierdził, że polonez nosi na sobie cechę ustaw i zwyczajów narodu polskiego. Owe poruszenia szabli, pokręcania wąsa i poprawiania czapki, są oznaką męża, obywatela i rycerza. Pierwsza osoba, prowadząca taniec według upodobania, podług pewnych jednak reguł, kierowała dalszym całym szeregiem. Ztąd w Polsce tańczyć na czele, nazywło się marszałkować, rej wodzić, stósownie do przywilejów marszałkom sejmowym służących. Śmielszy wszakże mógł rej wodzącemu odbić pierwszeństwo a odbity od damy brał miejsce drugiego, drugi trzeciego itd.

Ostatniemu służyło również prawo dobijać się naczelnictwa. To odbijanie porównywano w podobieństwie z owém sławném liberum veto, nie pozwalam, lub pretensyą każdego szlachcica polskiego do korony. Odbijanie damy w polonezie w dawnych czasach działo się za grzeczną prośbą. Dowodzący bowiem polonezem był to zwykle wiekiem lub zasługą w kraju znamienity mąż, a takiemu nie byłby nikt śmiał ubliżać. Dopiero gdy staropolska grzeczność zaczęła płochości ustępować miejsca, dość było komukolwiek zajść z przodu pierwszéj parze, klasnąć w dłonie, ażeby mężczyźnie nieraz z widocznem dla niego zmartwieniem odbić ulubioną osobę, albo miłą przerwać rozmowę. Ztąd często powstawały niesnaski, smutne niekiedy za sobą pociągające następstwa.

Polonez został wprowadzony do wszystkich krajów. Nie znam tańca, powiada w pamiętnikach swoich pani Guebriant, któryby do tego stopnia uprzejmość, powagę i przyjemność łączył, jak taniec polski. Poważny to i rycerski taniec jedyny podobno, który najdostojniejszym osobom i monarchom, oraz rycerskiemu przystoi ubiorowi. Charakter jego ma swoją poezyę, któréj znamieniem pewna uroczystość bez żadnéj namiętności Dziś, jak nie jedno u nas, co narodowe, wychodzi polonez coraz bardziéj w zwyczaju i ustępować musi obcym nienarodowym przybyszom

Mazur, taniec tak nazwany od plemienia mazowieckiego, między którém powstał, jako salonowy nie zdaje się sięgać dalszych czasów, jak Zygmunta III, z przeniesieniem bowiem stolicy z Krakowa do Warszawy począł przeważać żywioł mazowiecki, a z nim i mazur. Zasadą i poczęciem jego, jak niemal wszystkich naszych tańców, jest starosłowiańskie koło. Z niego dopiero wysuwają się pary pojedyncze na wyrywkę i ztąd u ludu zowie się wyrwasem. Już Pasek, kreśląc jednę bitwę z Szwedami, tak pisze: „Aże im nasi fałdów mocno przyciskają i coraz z lasu wymknie się chorągiew właśnie, jak kiedy owo wyrwanego tańczą, poczęła szwedzka starszyzna uciekać, a wojsko też poszło w rosypkę.“

Od czasu pobytu w Polsce wojsk niemieckich taniec ten między ludem stracił swój pierwotny charakter, zmieniwszy się w pewien rodzaj niezgrabnego walca Za to mazur upadły między gminem przyswoiła sobie klasa wyższa, i przy zachowaniu cech narodowych tyle dodała mu sztuki i wdzięku, że śmiało do najpiękniejszych i najprzyjemniejszych tańców europejskich liczyć się może. Jest on powabnym wesołości młodzieńczéj tłomaczem.

Tancerka w mazurze zdaje się być branką rycerza, obchodzącego zwycięstwo, a zarazem hołdującego zwyciężonéj piękności. Jet to jedyny taniec, w którym młodzieniec najpowabniéj okazać się może, osobliwie młodzieniec polski, którego przyjemne junactwo jest duszą i ozdobą w tym tańcu. Lekki, do pasterskiego podobny ubiór kobiet, a narodowy wojskowy ubiór mężczyzn, dodawał niegdyś temu tańcowi wiele uroku. Tańczyli go dawniéj legioniści przy nieśmiertelnéj melodyi: Jeszcze Polska nie zginęła.“

Entuzyazm, z jakim tańczony być powinien, oraz pełność życia nadaje powab skinieniom głowy, która wnet do góry wzniesiona, wnet ku piersiom opadając lub łagodnie ku ramionom się skłaniając, maluje aż do zazdrości pełność życia i wesołości.

W mazurze jest żywioł wojenny połączony z miłosnym. To też muzyka jego odzywa się dosadnością, pokukiem, zamaszystością rytmu, przeplatana to śpiewem czułym i pieszczotliwym, to znowu igrającym i lotnym niby gruchanie i podszepty miłosne wśród szczęku pałaszy, brzęku ostróg i dźwięku trąbki pobudkowéj. (Dok. n.)

ROZMAITOŚCI.

Z zapisków Szlachcica z Lubelskiego.

Wielka to radość ogarniać musiała serca dziadów naszych, gdy po długich cierpieniach, po długich mozołach i úsiłowaniach udało im się uchwalić Konstytucyą 3 maja. Zjeżdżali się, winszowali sobie wzajemnie, chwytali każdą nową wiadomość, co też zagranica mówi o konstytucyi, płakali z radości i wesela.

W zapiskach nieznajomego Szlachcica z Lubelskiego, które mamy pod ręką, znajdujemy rozmaite opisy zjazdów po dworach szlacheckich z okoliczności uchwalonéj konstytucyi, wyjątki z zagranicznych dzienników, z listów prywatnych i urzędowych, mieszczących w sobie wiele ciekawych szczegółów. Przytaczamy tu w całości dwa zajmujące dokumenta, umieszczone na czele dyaryusza, z których czytelnicy Sobótki będą się mogli przekonać, że jak dzisiaj Ojciec św. broni przy każdéj sposobności naszéj wiary przeciw prześladowaniu moskiewskiéj schizmy, tak i wówczas Stolica Apostolska szczerze dzieliła radość z ojcami naszymi i w tak smutnych dla narodu naszego chwilach korne do Boga zanosiła zań modły. Oto wyjątki z rzeczonych zapisków.

„Warszawa, dnia 30 czerwca. Ks. Nuncyusz Apostolski, przybywszy do zamku i otrzymawszy prywatną u Króla Imci audyencyą, oddał Najj. Panu list Ojca św., pisany z okoliczności zapadłéj na dniu 3 maja konstytucyi, który z łacińskiego języka przetłómaczony tu kładziemy:

„„Pius VI. Papież.

Najmilszy w Chrystusie Synu nasz! Zdrowie i błogosławieństwo apostolskie!

Doniósł nam w liście swoim wielebny brat Ferdynand, Arcybiskup kartagiński, Nuncyusz nasz u WKMości o tém, co się stało na sejmie dnia 3 miesiąca maja i jakie na nim ogłoszone są prawa względem nowego urządzenia Rzpltéj i Królestwa Polskiego która konstytucya po uchylonych dawniejszych zawadach czyni nadzieję, największych dla kraju pożytków, mianowicie z upoważnienia dostojeństwa królewskiego, z przeznaczenia następcy tronu w osobie księcia ś. Państwa Rzymskiego, Elektora saskiego, z ustanowionego na dalsze czasy porządku sukcesyi, oraz innych wyroków sejmowych, które się ściągają do zabezpieczenia mowy, powagi i spokojności publicznéj.

Trudno zaiste uwierzyć, z jaką radością przyjętą jest od nas ta wiadomość i jak wielką ztąd czynimy sobie otuchę, że Naród polski, Naród od nas tak mocno ulubiony, z tych tak znakomitych dobrze ułożonego rządu pierwiastków, wkrótce najokazalszy powszechnéj szczęśliwości wzrost odbierze. Tę radość naszą pomnożył dziwnie tenże nuncyusz nasz, gdy mówiąc najprzód o WKMości, doniósł w dokładnym sposobie, jak mądrość twoja Królu, przewodniczyła we wszyskiém temu dziełu, jakie pochwały jak wysoki zasług szacunek spływa na osobę twoją z tak pomyślnego skutku; gdy przydał i to jeszcze, z jaką dobrocią w rozmowie swojéj dzieliłeś z nim WKMość ukontentowanie swoje, i jak mu oświadczyłeś przeświadczenie swoje, że My nad innych będziemy uczestnikami téj jego królewskiéj radości. Żądałeś także od Nas przez niego, aby za błogosławieństwem Naszém apostolskiém początkom tym waszym pomoc z niebios raczyła towarzyszyć. Jakoż My łączymy do wszystkich dzieł waszych modły nasze przed Bogiem, a darząc błogosławieństwém naszém ojcowskiém Majestat WKMości i Rzeczpltą Polską, błagamy Najwyższego o najpożądańsze dla was powodzenia. Winszujemy też Tobie, synu w Chrystusie, a spólnictwem radości Naszéj z twoją tém więcéj one pomnażamy. Uznajemy w tém tak chwalebnie wykonaném dziele, twoje Królu starania i prace, twoją ku ojczyznie miłość, twoją usilność i rady. Zastanawiamy się nad niemi z podziwieniem, a z niemi razem imię twoje słodkiém wspomnieniem pod niebo wynosimy. Do tych oświadczeń, które WKMości zasyłamy, nie możemy przemilczeć rzeczy najważniejszéj, ani nie zanieść czułych podzięków Majestatowi twojemu za okazaną troskliwość na tych sejmowych obradach o religią katolicką rzymską, któréj panowanie, jak było, dawniéj w królestwie tém waszém udzielną uchwałą potwierdzić chcieliście. A jak przywodziły sobie na pamięć stan kwitnący Narodu waszego, i obszerność sławy ojczystéj idącéj wespół z wzrostem i rozkrzewieniem religii prawowiernéj i pobożnością prawdziwéj, tak obiecujemy sobie, że Najwyższa Opatrzność tem silniejszą wspierać was będzie pomocą, im silniéj odtąd do świętych kościoła katolickiego przepisów przywięzywać się i stósować będziecie. Przeświadczeni, mądry Królu, o zagruntowanéj w sercu twojém cnocie i religii, nie tak zalecamy staraniu twojemu całość praw duchowych i cokolwiek do kościoła, oraz powagi Stolicy Apostolskiéj przynależy, jako raczéj błagamy Boga, aby ramieniem swojém rady i przedsięwzięcia twoje wszystkie dźwigał, aby skutkiem pożądanym umacniał, a nowemi coraz pomyślnościami twoją ztąd sławę, twoją szczęśliwość więcéj a więcéj pomnażał i świątlejszym blaskiem ozdabiał. Używaj i ciesz się WKMość z szczególniejszych zasług swoich, ktoremi zjednałeś już sobie te chlubę, że czas dobrze urządzonéj i na okazalszém świetle wysoce postawionéj Polski od Ciebie i od królowania twojego liczyć się odtąd zacznie. Pozostaje nam tylko nieść proźby do Wszechmocnego Boga za zdrowie WKMości, za cnót Jego królewskich tymże darem Boskim dla dobra powszechnego pomnożenie, a razem na dowód osobliwszéj Naszéj miłości ojcowskiéj dla WKMości i dla całego przezacnego Narodu Polskiego w zupełności serca apostolskie powtórzyć błogosławieństwo.

Dan w Rzymie u św. Piotra, dnia 8 czerwca r. 1791, Papiestwa Naszego 17 roku.“ “

„Z Rzymu, dnia 8 czerwca. Ojciec św. ogłosił przez kardynała Marka Antoniego trzydniowe nabożeństwo z dostąpieniem odpustu w kościele św. Stanisława, a to w następującym sposobie:

„„Marck Antoni z Łaski Bożéj biskup palestriński. S. K. R. Kardynał Wikaryusz Stolicy Apostolskiéj.

Bóg miłosierdzia, który w pośród plag, jakiemi przez niedościgłe swe sądy kościół swój święty dotyka, nie przestaje go jednak pocieszać tą pomocą, którą mu przyrzekł aż do skończenia wieków. Bóg miłosierdzia, raczył w tych ostatnich czasach zlać dobrodziejstwa swoje na prawowierne Królestwo Polskie, pobłogosławiwszy i poszczęściwszy cnotliwym zamysłom i przezornym staraniom Króla, a to przez prawa uchwalone za zgodą Narodu na sejm zebranego, prawa, które zabezpieczając całość i wzrost religii św. katolickiéj, dziedzicznéj i panującéj w tym przezacnym Narodzie, dążą do utwierdzenia coraz większéj pomyślności i coraz większego blasku tego sławnego Królestwa i sprawdzają słowa w księgach mądrości zawarte: Multitudo sapientum sanitas est orbis terrarum et Rex sapiens stabilimentum populi est, co się po polsku wykłada; (A mnóstwo mądrych jest zdrowiem okręgu ziemi, a król mądry jest ugruntowaniem ludu.)

Gdy zatém pobożność Króla i Narodu, przypisując pomyślny skutek tak ważnego dzieła pomocy Boskiéj (bo gdy Wszechmocny nie strzeże królestw, próżne są usiłowania rządu ludzkiego), uchwaliło na sejmie, ażeby Panu Zastępów składać publiczne dzięki, wystawić oraz kosztem publicznym w stolicy Królestwa kościół i poświęcić go Opatrzności Boskiéj, Ojciec św. pragnąc, aby znajdujący się w Rzymie Polacy, również dziękować mogli Bogu za uszczęśliwienie ich ojczyzny, ustanawia trzydniowe nabożeństwo przez dni 7, 8 i 9 miesiąca czerwca w narodowym kościele polskim św. Stanisława, w którym przez wszystkie trzy dni z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, zacząwszy od godziny szóstéj aż do ósméj wieczornéj trwać ma nabożeństwo i błogosławieństwem się skończyć. Ojciec św Pius VI, szczęśliwie panujący, wszystkie apostolskie swoje zwracając starania do pomnożenia św. religii, któréj pomyślność nieoddzielną jest zawsze od powodzeń królestw, ażeby bardziéj pobudzić prawowiernych do błagania modły swemi Boskiego miłosierdzia, nadaje odpust zupełny każdemu, kto po odbytéj spowiedzi i komunii w kościele tym błogosławieństwo Najświętszego Sakramentu odbierze i modlitwy podług pobożnéj myśli Ojca św. odprawi.

Dan w rezydencyi naszéj zwyczjnéj, dnia 5 czerwca 1791 r.
M. A. Card. Vicarius.“ “

Na następnych stronnicach wspomnionych zapisków znajdujemy ustęp z listu obywatela polskiego pisanego do kraju z Paryża, pod dniem 23 maja 1791 r., w którym tenże pisze, że Paryżanie tak są zachwyceni konstytucyą 3 maja, iż nazywają naród polski „wzorem narodów i zaszczytem dojrzałości XVIII wieku“; daléj adres departamentu Tain podpisany przez pp. Monier i Macker do marszałka sejmu wielkiego, St. Małachowskiego. Znajdują się także wzmianki o powinszowaniach składanych posłowi polskiemu Wojnie na dworze wiedeńskim; o bankiecie danym w Londynie na 900 osób „w austeryi Krones i Ankier“, na którym wzniesiono toast „na pomyślność konstytucyi 3 maja i Narodu polskiego“; o uroczystości publicznéj urządzonéj w Dublinie 14 lipca 1791, na którą się zebrało 20,000 Irlandczyków. Śród zebranego tłumu niesiono wielką latarnię, na któréj w przezroczystych literach czytać można było wyrazy: Ameryka, Francya i Polska. Znajdują się daléj wyjątki z listów obywateli Amsterdamskich do bankierów warszawskich Teppera i Schultza, kopia listu pp. Gülckera i Müldera, przesyłających królowi polskiemu pod adresem bankiera warszawskiego p. Blanka medal złoty bity w Holandyi na pamiątkę konstytucyi 3 maja; wzmianka o balu danym 21 maja w Berlinie w ambasadzie polskiéj u ks. Jabłonowskiego, na którym znajdowali się „wszyscy ministrowie krajowi i zagraniczni, cała szlachta berlińska i ks. d'York.“ Na przedostatniéj stronicy dodał nieznajomy Szlachcic: „Rosya — zupełnie milczy, ale działa swoje.“

Szarada.

Pierwsze główką solitera,
Drugie po bruku się zdziera,
Trzecie zaś jedna litera. —
A wszystko? — Zgadnąć nie sztuka.
Niech nikt daleko nie szuka,
Bo ma blisko przed oczyma,
A może i w ręku trzyma.

(Rozwiązanie szarady w nr. 18: **Synogarlica.**)

PUSZKA DO LISTÓW.

Nieznajoméj Znajoméj z. o. M.: Prosimy o więcéj. — Ks. D. w. Brzeżanach: Dziękujemy za nadesłane. Obawy nie sąż z czasem przesadzone? — Panu W. Dz. w Rożn: Żałujemy, żeśmy o tém rychléj nic nie wiedzieli, bylibyśmy z pewnością korzystali. Dziś już zapóżno.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.